

Można się napić

Ryszard Ćwirlej
Mocne uderzenie
 Wydawnictwo W.A.B.
 Warszawa 2011

Parę lat wstecz trafiłem przez przypadek na Ryszarda Ćwirleja i jego książkę *Ręczna robota*. Wydała mi się dosyć ożywcza, nawet na tle debiutującego wówczas na polskim rynku tytułu *Pochwała macochy* noblisty Vargasa Llosy. W zachwycie nie byłem osamotniony. Powieścią Ćwirleja zainteresowało się Polskie Radio, a wymiernym efektem zainteresowania stało się słuchowisko opowiadające o losach wesołych milicjantów z Poznania. Wesołych – słowo klucz pisarstwa Ćwirleja. Toteż nie wiedzieć czemu książki jego wychodzą w „mrocznej serii”. Fakt – zbrodnie w świecie poznańskiego autora się zdarzają niechęcy, ale tylko po to, by milicjanci mogli wyjść z domu, a potem z komendy. To nie są trzymające w napięciu rasowe kryminały ani przestraszające czytelnika thrillery. W świecie wykreowanym przez Ćwirleja morderstwo się wydarza i przeszkadza. Przeszkadza milicjantom spokojnie pracować. Bo to zaraz rozpoczyna się śledztwo, przełożeni oczekują wyników, a pić się chce. Wartość propozycji takiej jak *Mocne uderzenie* nie leży w pełnym napięcia polowaniu detektywów na bestialskiego zabójcę-kanibala, nie tkwimy pośrodku sceny, wokół której trup ściele się gęsto, nie towarzyszymy w śmiertelnej rozgrywce inteligentnemu bohaterowi. Wartością osadzonych w swojskiej rzeczywistości pomysłów Ćwirleja jest humor. Fajtlapowaci milicjanci z komendy wojewódzkiej w Poznaniu koniec końców trafiają na trop mordercy

i zatrzymują go, potrafią nawet przeświecić intrygę uknutą przez padalców z SB, ale efekty nie są wynikiem misternie ułożonego planu, efekty przychodzą „przy okazji”.

Ryszard Ćwirlej na moment przenosi nas do Jarocina, gdzie tradycyjnie odbywa się rockowy festiwal. Jest rok 1988. Na polu namiotowym znaleziono dziewczynę z dziurą w głowie. Po młotku. Sprawą na przestrzeni kilku dni gorącego sierpnia zajmuje się ferajna z niezastąpionym Teofilem Olkiewiczem, funkcjonariuszem milicji obywatelskiej w oficerskiej randze podporucznika. Ten łysy, mały grubas najchętniej spędzałby wolny czas w knajpie, przy zimnym piwie, ewentualnie przed telewizorem, ale ze szklanką bałtyckiej w dłoni. Olkiewicz „budził się zły potem. W końcu pięćdziesięcioletniemu mężczyźnie, mierzącemu metr sześćdziesiąt i ważącemu dziewięćdziesiąt osiem kilo, wcale nie jest łatwo biegać, nawet we śnie”. Śledztwo, zamieszanie na komendzie, narady rozstrajają go nerwowo. Młotkowy spaceruje po Poznaniu – drugiego trupa w jednej z dzielnic miasta też znaleziono z roztrzaskaną czaszką – więc działać trzeba. Jak działać bez zastanowienia? Jak myśleć bez alkoholu? Jak się napić, skoro pokój jest pełen ludzi, a faszka w biurku? Dziwić się frasunkowi podporucznika Olkiewicza nie sposób. Zarys fabuły, nieporywającej zresztą, znaleźć możemy na ostatniej stronie okładki. Pisać o tym nie będę. Postaram się pokazać natomiast, dlaczego warto, mimo wszystko, sięgnąć po *Mocne uderzenie*. Dlaczego mimo wszystko? Bo mimo wszystko najnowsze dzieło Ćwirleja słabsze jest od *Ręcznej roboty*, a na domiar złego pozbawione istotnego waloru – humoru w wystarczającej dawce. Źle w tej książce rozłożone są akcenty. Zaczyna się wręcz blado, tak jakbyśmy naprawdę mieli stanowić część typowego kryminału pisanego bez polotu. A z takimi bohaterami, jak Teofil, porucznik Mirek Brodziak i cinkciarz Gruby Rychu mowy o schemacie gatunkowym być nie

może. Wartość dodaną, pozwalającą spojrzeć na książkę przychylnie, stanowią detale. Zanurzamy się w klimacie PRL-u, dostajemy drobiazgowy opis Poznania, przede wszystkim dzielnicy Rybaki z jej ofertą kulturalno-biznesową końca lat 80. ubiegłego wieku. Zaradni biznesmeni wiedzieli na przykład, jak za darmo dodzwonić się za granicę: „w obiegu na rynku były dwa rodzaje zapalniczek, najprostsze jednorazówki krzemieniowe i znacznie droższe z iskrą elektryczną. Te drugie potrafiły współpracować z aparatami telefonicznymi. Wystarczyło tylko wyrwać moduł zapalający, przytknąć go do tarczy w chwili wykręcania numeru, pstryknąć i już można było dzwonić za darmo choćby do Ameryki”. Ćwirlej ma przebliski przekraczające ramy gatunku. Momentami można mu zazdrościć umiejętności wręcz poetyckiego obrazowania rzeczywistości: „wycie z bębniem nadchodziło z daleka, ze stadionu i amfiteatru, i osiadało na smołowanych dachach dziewiętnastowiecznych kamieniczek, odbijało się od przysadzistej wieży barokowego kościoła Świętego Marcina i sphywało wolno na jarocińskie brukowane ulice, cichnąc na dole jak wybrzmiały odgłos letniej burzy, przechodzącej gdzieś daleko za miastem”. Żałować trzeba, że są to tylko przebliski.

Mocnego uderzenia nie powinno się jednak traktować jako zapisu absurda, przebrzmiałej epoki. Jestem przekonany, że policjantów ulepionych na podobieństwo milicjanta Olkiewicza znajdziemy i dzisiaj. Takich, co to żywią przesądzenie, że dyndającej u pasa policyjnej pały boją się tylko winni. I pewnie gdyby wstąpić do pobliskiej komendy, można by usłyszeć taką oto rozmowę:

„– A wiadomo już, kto zgłosił tego trupa?
– Tak jest, obywatelu poruczniku. Chłopaki mówią, że zgłaszał niejaki Michu.
– Michu, powiadacie, koniarek. – Porucznik przeszedł obok sierżanta... – już my temu Michu

miczę wyklepiemy”. Proste metody, szybkie rezultaty. Koniec śledztwa. Można się napić.

To jedna warstwa świata przedstawionego. Drugą symbolizuje kapral Mariusz Blaszkowski. Cokolwiek by mówić, fachowiec. Dzięki jego determinacji jarocińska milicja nie zdeptała wszystkich śladów na polu namiotowym, gdzie znaleziono dziewczynę z dziurą w głowie. Podobnych fachowców, wbrew temu, co nam się zakodowało z filmów Barei, miała milicja obywatelska. Tytułem przykładu warto wspomnieć rolę anonimowego dziś milicjanta, który zabezpieczył dowody zbrodni dokonanej na progu lat 80. w jednej ze wsi pod Zieloną Górą. Dzięki jego profesjonalizmowi (i rozwojowi nauki) można było po 27 latach wskazać i zatrzymać mordercę. O Blaszkowskim powiedzieć można, że z determinacją dąży do poznania prawdy, do znalezienia „młotkowego”.

Wracając jeszcze na chwilę do będącego już tylko obrazem w pamięci Jarocina, wypada raz jeszcze podziękować Ryszardowi Ćwirlejowi za frazy zapadające w pamięć, których należy mu zazdrościć: „grał chyba jakiś zespół heavymetalowy, bo charakterystyczne basowe dźwięki orały powietrze niczym czołgi t-54 asfalt w noc wprowadzenia stanu wojennego”. Jak na moje standardy, opis wart grzechu. Ale Ćwirlej zaszedł mi też za skórę znęcaniem się nad laureatem Jarocina '88, punkami spod szyldu Zielone Żabki. Oczekiwać od kapeli punkowej wirtuozerii kompozycyjnej to jak... i tu zabrakło mi słów. W ramach ciekawostki powiem za to, że od paru lat Gaga/Zielone Żabki grają na festiwalu Owsianka, na scenie w wiosce Hare Kriszna. Jakoś tak się stało, że Smalec, frontman zespołu, stał się częścią tego ruchu religijnego. Mniejsza o jego wybory. Co chcę powiedzieć? Tylko ich występy na przystanku Woodstock dają namiastkę starego Jarocina. Punk not dead!

Jacek Uglik